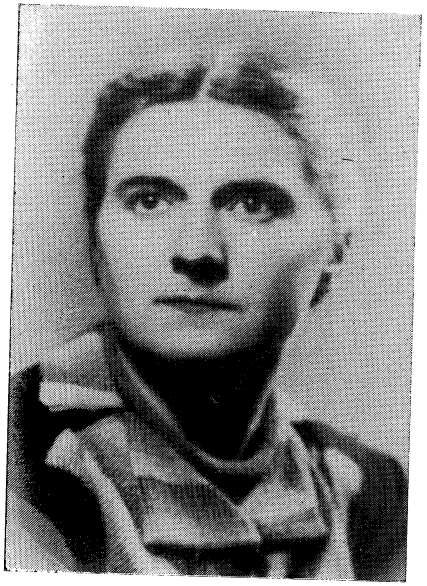


Grażyna Lipińska
Warszawa 1941 r.

GRAŻYNA LIPIŃSKA

JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH ...

EDITIONS SPOTKANIA

Grażyna Lipińska

JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH ...

Publikacja bez wiedzy i zgody autorki

Zdjęcie na okładce:
Cmentarz więźniów, Workuta 1956

ISBN 2-869-029-0

Directeur de la publication: Piotr Jegliński

Copyright by Editions Spotkania, 1988
64, Av. Jean Moulin
75014 PARIS

Do druku przygotował: Jacek Bierezin

Printed by Caldra House Limited, 23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN3 5AB

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu 7
Oddech wojny 9
Wojna 15
Obrona Grodna 19
Zniewolona szkoła 41
Więzienie i śledztwo 55
Sąd i cela etapowa 106
Mohylewski trakt 133
Niemcy 149
Warszawa 1941 169
AK na zapleczu niemieckiego frontu „Środek" 183
Warszawa 1943 228
Zygzaki wojny na Białorusi 234
Więzienie po raz drugi 263
Łagier 287
Mińsk-Moskwa-Wilno-Suchobezwodna 324
Specobozy 364
Po raz trzeci 378
Specobozy u schyłku 419
Skorowidz nazwisk 453

ZAMIAST WSTĘPU

W czasie bezsennych nocy powraca do mnie niedawna przeszłość. Przychodzą wspomnienia zdarzeń i doznań na pewno nieznacznych w skali światowej, ale dla przeżywającego je człowieka ogromnych, ponad miarę jego sił. Przesuwają się ludzie, ludzie, ludzie. I ci twardzi, niepokorni, nigdy niepokonani i niezliczone mrowie tych poniżonych, wdeptanych w błoto i wreszcie nieprzebrane masy istot odczłowieczonych. Cisną się wspomnienia spotkań i rozstań, rozmów i krzyków, jęku i zatwardziałego milczenia, wzruszeń i okamienień, kłamstwa i płaczącej prawdy, cichego dobra i triumfującego zła. Zmartwychwstają wspomnienia tysięcy udręczeń, jakie stwarza pastwienie się człowieka nad człowiekiem — policzek wymierzony człowieczeństwu i wspomnienia plag masowych jakie niesie niewola — policzek wymierzony historii. Wspomnienia narastają, zalewają mnie swą różnorodnością, olbrzymią liczbą. Jestem w ich centrum, jakby najważniejsza, ale już daleka i obca. Wkręcam się myślą w ich kłębowisko, aby wydobyć na wierzch każdy szczegół, kiedyś tak bardzo istotny. Odmykam komórki mego mózgu, oświetlam schowane w nich — kiedyś tak ostre, dzisiaj mgłą zachodzące — kontury obrazów i zdarzeń. Pamięć moja jest również mglista. Widzę twarze moich towarzyszy czasem spokojne, częściej obolałe, umęczone, widzę również twarze naszych dręczycieli. O jednych i drugich wiem tak wiele, lecz daremnie szukam w pamięci ich nazwisk i adresów. Ci ludzie bez imion patrzą na mnie z wyrzutem i żądają słów mówiących o nich.

Wy nigdy nie zapomniani! Dla was, tylko dla was zaczynam pisać nie czekając na czas — lekarza, który winien jest memu oddaleniu się od was. Wy kochani i wy znienawidzeni, a wszyscy mi bliscy, gdziekolwiek dziś jesteście — zawracam was z obecnej waszej drogi i wzywam do powtórnego przebycia ze mną tych siedemnastu lat doli i niedoli.

Kiedy moja pamięć odkrywa stracone dla mnie — a może zyskane siedemnaście lat życia, te nieco już zatarte zdarzenia, odczucia, słowa, czyny tracą znamiona przeszłości, śnię je jak teraźniejszość, myślę o nich w czasie teraźniejszym i opisuję w czasie teraźniejszym.

ODDECH WOJNY

Maj 1939 roku. Jestem zajęta organizacją szkolnictwa zawodowego na terenie Kuratorium Szkolnego Wileńskiego, a przede wszystkim na terenie grodzieńszczyzny. Wśród nawału pracy pochłaniającej czas, myśli i uczucia nie śledzę gromadzących się nad Polską groźnych chmur. Nie wierzę groźbom niemieckim, nie wierzę w wybuch wojny.

Niespodziewanie wzywa mnie do Warszawy Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W Ministerstwie rozmawiam z wizytatorką Stefanią Zbyszewską. Jest dziwnie poważna, skupiona. Pokazuje mi rozporządzenie Ministra, że wszystkie żeńskie szkoły zawodowe muszą organizować na swych terenach szycie masek przeciwgazowych, w które trzeba będzie zaopatrzyć całą ludność Polski. Sprawa jest tak pilna, że nauka i całe normalne życie szkoły zejdą na drugi plan. Czytając to rozporządzenie czuję, jak serce pierwszy raz bije mi gwałtownie, nie ze strachu, ani zgrozy, tylko ze świadomości zbliżania się jakiegoś decydującego, groźnego dnia.

Szyjemy maski. Ministerstwo Spraw Wojskowych przysyła nam skrzynie z węglem aktywowanym i odpowiedni materiał do szycia. Śmieszne są te maski przeznaczone dla cywilów; jakby ryjki nakładane na nos i usta. Szyje je młodzież wszystkich średnich szkół, chłopcy i dziewczęta. Jest przy tym tyle młodzieńczego beztroskiego humoru i śmiechu, że myśl o wojnie ucieka znów daleko.

Koniec czerwca, wakacje. Znowu jestem wezwana do Warszawy, tym razem przez Radę Główną Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK) kierującą Zrzeszeniem Organizacji Kobiecych.

Członkinie organizacji PWK były ochotniczkami. Dopiero od 1937 r. uczennice liceów ogólnokształcących i zawodowych przechodziły w latach szkolnych 1937/1938 i 1938/1939, na mocy rozporządzenia Ministra WRiOP, obowiązkowe szkolenie wojskowe w ramach PW, dzięki czemu liczba przeszkolonych wojskowo kobiet powiększyła się o 350.000. W obliczu zagrożenia wojennego Organizacja PWK, zrzeszająca od marca 1939 r. ogół zawodowych organizacji kobiecych

oraz większość społecznych, jednoczy ich działania w przygotowaniu do obrony kraju, organizuje wspólnie z nimi Pogotowie Społeczne PWK na całym obszarze państwa. Komendantką Naczelną PWK jest jego założycielka, Maria Wittek, major WP, peowiaczka[1], porucznik Ochotniczej Legii Kobiet z czasów I Wojny Światowej.

Uczestniczę w zorganizowanym przez Radę Główną PWK trzytygodniowym kursie kierowniczek Pogotowia Społecznego w Spale. Beniaminkami naszego kursu są Ślązaczki, dlatego, że są pełne sił żywotnych i również dlatego, że widzimy w nich przyszłe bohaterki, bo Śląsk jest najbardziej narażony na agresję niemiecką. Ślązaczki liczą się z możliwością czasowej okupacji Śląska. Chcą przede wszystkim opracować plany ewakuacji. Boli mnie ta ich opinia. Na ich miejscu opracowałabym plan zajęcia Dolnego Śląska. Wierzymy niezbicie w armię polską, wierzymy w moc i wierność naszych sprzymierzeńców, wierzymy w życzliwą neutralność Rosji.[2]

Uczestniczka kursu, p. Gerlachowa, zwraca nam uwagę na jedną z pań, która przez wiele lat odwiedzała z ramienia KPP, czy też MOPR[3] więźniów politycznych. Komunistka. Zastanawiamy się, czy powiadomić o tym kierownictwo kursu. Przeważa jednak zdanie, że komunistka jako kierowniczka Pogotowia Społecznego w grożącej wojnie z Niemcami może pomóc, a nie przeszkodzić i przestajemy interesować się tą sprawą. Gerlachowa jest zrozpaczona, nie tyle pozostawieniem komunistki na eksponowanym stanowisku, ile naszym brakiem orientacji i nieznajomością komunizmu, jego bezwzględnej zależności od Moskwy. Dyskutując z nami, wypowiada prorocze słowa: — Z chwilą napaści Niemców na Polskę, Rosja stanie przy Hitlerze, a komuniści polscy przy Rosji. Śmiejemy się szczerze z obaw p. Gerlachowej. Po 3 tygodniach kurs nasz kończy się. Rozjeżdżamy się pełne zapału i dobrych myśli.

W końcu lipca 1939 r. jadę jeszcze na następne przeszkolenie w Izdebnej, na kurs instruktorski PWK dla kobiet z wyższym wykształceniem. W Spale zgromadziły się kobiety-społecznice przeważnie już w wieku poważniejszym, w Izdebnej zaś kobiety-pewiaczki młodsze od tamtych, wesołe, rozśpiewane, a równocześnie karne i po wojskowemu zdyscyplinowane, kochające musztrę, sztukę wojskową i tradycje PWK. Komendantką obozu jest Krystyna Reut. Wśród tego śpiewu, wesela, słońca i wspaniałej górskiej przyrody, widmo wojny znów oddala się. Nie ściąga go musztra wojskowa, ani próby alarmów obozowych, ani wojskowe piosenki i wojskowe namioty. To wszystko jest zbyt urocze, aby straszyło wojną, przypomina obozy harcerskie, wycieczki turystyczne, biwakowanie, życie za pan brat z przyrodą. Kilkakrotnie przyjeżdża z Warszawy Naczelna Komendantka PWK, Maria Wittek. Asystuje przy egzaminach składanych po zakończeniu kursu, jest z nami na pewiackich ogniskach. Cicha, skromna, nieefektowna, a jednak jakąś dziwną, emanującą siłą kieruje całą organizacją PWK, liczącą w tym czasie około 350.000 członkiń, wszystkimi zespołami i każdą z nas indywidualnie. Umie gromadzić wokół siebie najlepszych

i wykrzesać z nich to, co najlepsze. Przyjaźnię się z Zofią Kraczkiewicz; nasza przyjaźń utrwali się na śmierć i życie w sierpniu 1941 roku. Przyjaźnię się ze Staszką Kuszelewską-Rajską. Ona pierwsza — opowiadając o swym dzieciństwie i latach młodzieńczych — uczy mnie kochać Mińsk Litewski, Bobrujsk, Witebsk.

Przyjeżdża do nas na ognisko żona Prezydenta RP, Maria Mościcka. Mimo różnych uprzedzeń — może zupełnie niesłusznych — jakie mają do niej Polacy, nam dzisiaj podoba się. Jest prosta i naturalna. Opuszcza nasze ognisko wcześnie, bo niepokoi ją zły stan zdrowia męża. Prezydent spędza dwa tygodnie w pałacyku myśliwskim niedaleko Izdebnej.

Po skończeniu kursu w połowie sierpnia wracam do Warszawy. Pół dnia spędzam w Katowicach. Mam dużo wspomnień z młodych lat spędzonych w tym mieście, lecz nie poznaję dziś Ślązaków. Są dziwnie rozgorączkowani; mężczyźni głośno rozmawiają, kobiety snują się cicho, jakby zastraszone, dźwigają pełne torby sprawunków. Ja opalona, wesoła, roześmiana, zwracam uwagę swoją odmiennością. Zaczepiają mnie dwie sędziwe Ślązaczki: Skąd pani? — pytają. Odpowiadam na chybił trafił: — Z Wilna — bo właściwie nie wiem, skąd ja teraz jestem. — Wilno... Wilno — wołają i zaczynają płakać. Obejmują mnie, całują serdecznie: — Wy tam w Wilnie bezpieczni, nie zapominajcie o Śląsku — proszą. Ja, nie — wilnianka, w imieniu Wilna święcie zapewniam, że Wileńszczyzna i Śląsk, to dzieci jednej Matki: — Zawsze będziemy razem! Zbiera się koło nas gromada ludzi. Ślązaczki już nie płaczą.

Po drodze do Warszawy zatrzymuję się na cały dzień w Częstochowie u moich rodziców. Jest moja matka[4], jest mój ojciec[5], jest mój mały siostrzeniec Zygmuś[6], którego mam zabrać do Grodna. Cisza, spokój, miłość. Wpadam w tę ciszę jak bomba naładowana opowieściami o swoich wrażeniach, niepokojach, przypuszczeniach. Rodzice cieszą się moim przyjazdem i, chociaż odnoszą się na serio do moich słów, słuchają nie z przerażeniem, lecz z rozkochanym uśmiechem.

Cudny jest zwyczaj w jaki moja matka przyjmuje przychodzących do niej. Kiedy komukolwiek otwiera drzwi domu, bliskiemu, czy dalekiemu, niewidzianemu od lat, czy też pożegnanemu przed godziną, wita go z takim entuzjastycznym okrzykiem radości, jak się wita wchodzące w dom szczęście. Co dzień kilkakroć odbywa się takie serdeczne powitanie. Witany czuje się potrzebny, wyróżniony, kochany i staje się życzliwszy, lepszy. Wszak ludziom potrzeba miłości, aby stali się lepszymi. Moja matka jest literatką, ojciec inżynierem wynalazcą. Mądrość matki jest mądrością ludzi często obcujących z Bogiem, mądrość ojca jest logiczna, wyrozumowana. Biurko matki zarzucone jest jej rękopisami, choć cały czas swój i serce oddaje rodzinie i ludziom, ich sprawom, troskom i kłopotom. Biurko ojca jest pełne jego projektów, rysunków konstrukcyjnych i obliczeń.

Umawiam się z rodzicami, że przyjadę do Warszawy, do mojej siostry Dzidki[7], jeśli groźba wybuchu wojny będzie niezaprzeczalna.

Gdzie ja wtedy będę, nie wiem, może w Warszawie, może w Grodnie, a może w Gdyni, bo tam chce mnie wysłać Komendantka PWK.

W Warszawie upajam się panującym tam nastrojem patriotycznych uniesień. Wspaniała gotowość duchowa i kompletne nieprzygotowanie militarne, ale o tym ostatnim na ogół się nie wie. Nie widać przygnębienia, ani paniki, tylko spokój godny podziwu. Życie warszawiaków toczy się normalnym codziennym trybem. Niecodzienny jest tylko wyraz ich twarzy — u dorosłych poważny, zaabsorbowany jedną myślą, u młodych wesoły, buńczuczny. Sklepy skąpo już zaopatrzone, ale nie ma przed nimi wielkich kolejek. Pełne są tylko kościoły i miejsca spotkań — place, kawiarnie. Ludzie muszą się dzielić swoimi myślami, choć myślą prawie jednakowo. Gazety są rozchwytywane, ale — niestety — mało jest w nich wiadomości politycznych. Jedynie sprawa Gdańska jest wszechstronnie opisywana. Warszawiacy wiedzą jednak z innych źródeł, jakie kłamliwe oszczerstwa pisze o Polsce prasa niemiecka i wiedzą, że Niemcy gromadzą swe wojska na granicy polskiej. Mówi się o tym głośno, bez trwogi.

Spotykam się w Warszawie z komendantką Wittek. Idziemy razem do ministerstwa WRiOP, rozmawiamy z moim zwierzchnikiem dyr. Firewiczem o ewentualnym objęciu przeze mnie funkcji Kierowniczki Pogotowia Społecznego w Gdyni, prosimy go o czasowe zwolnienie mnie z kierowania szkołami zawodowymi w Grodnie. Pragnę być w tym gorącym czasie w Gdyni, Grodno wydaje mi się dalekie, ciche, śpiące. Ale Firewicz odmawia, tłumacząc, że w przededniu spodziewanej wojny nikt nie powinien zmieniać miejsca pracy.

Następnego dnia przyjeżdżam do Grodna. Jest ze mną mój mały siostrzeniec Zygmuś. W Szkole Ogrodniczej — jednej z kompleksu szkół będących pod moim kierownictwem — najspokojniej odbywają się lekcje, ćwiczenia, praca w ogrodach. Jedna część internatu szkolnego zajęta jest przez uczniów tej szkoły, druga, większa, czeka na przyjazd uczennic Szkoły Przemysłowej, Gimnazjum Krawieckiego i Szkoły Gospodarstwa Domowego. Jednak młodzież nie zjeżdża się, bo Ministerstwo odwołało rozpoczęcie roku szkolnego do 15 września. Internat mieści się w zabytkowym gmachu poklasztornym SS. Bernardynek, wzniesionym w 1620 r. przez Kazimierza Sapiehę, hetmana litewskiego. W 1854 r. rząd rosyjski obrócił go na monastyr prawosławny. Budynek klasztorny, zrujnowany w 1863 r. kościół i niedawno wybudowany gmach szkolny stoją na wysokiej skarpie nad Niemnem; wokół jest duży ogród otoczony grubym murem klasztornym. W celach poklasztornych naszego internatu mieszka młodzież wiejska, polska i białoruska, żeńska i męska. Internat prowadzi młoda nauczycielka, Danuta Bukowińska, energiczna, pełna humoru, ładna kobieta. W budynku klasztornym wydzielone są dwa pokoje z kuchnią na moje mieszkanie. Najbliższymi naszymi sąsiadami są koszary 81 pp.[8] z jednej strony i szpital wojskowy — w historycznym, zabytkowym gmachu — z drugiej.

Wspólnie z referentką PWK w Grodnie, Kazimierą Jaworską i z

delegatkami innych organizacji kobiecych układamy program działalności Pogotowia Społecznego w powiecie grodzieńskim, zwołujemy masowe zebrania kobiet, wygłaszamy odczyty z dziedziny samoobrony ludności cywilnej.

W nocy z 24 na 25 sierpnia zostaje ogłoszona częściowa, imienna mobilizacja niektórych jednostek wojskowych. Rano jestem na ulicy, ludzie zbierają się w grupki, rozprawiają w podnieceniu, śpieszą się. Uwiecznia mi się w pamięci obraz napotkanej pary małżeńskiej: młody porucznik, blady jak kreda szarpie nerwowo guzik munduru, jego żona, brzemienna kobieta, z trudem powstrzymuje szloch, nie broniąc się już przed łzami. Chce żegnać męża, idzie za nim szybko, prawie biegnie. Odprowadzam ich wzrokiem. Oni coś złego przeczuwają, coś bardzo złego...

Gmach szkolny oddajemy na czas mobilizacji do dyspozycji dowództwu 133 i 134 pułku piechoty. W szkole odbywa się rejestracja przybywających od samego rana rezerwistów, mundurowanie ich, zaopatrzenie. Kancelaria wojskowa i intendenci pracują pośpiesznie i sprawnie. Dziedziniec szkolny pełen zmobilizowanych, gwar, ruch. Przybiega ze swymi harcerkami hufcowa Marta Wilmus, nauczycielka Seminarium Nauczycielskiego, zawsze wszędzie obecna, zawsze wszędzie potrzebna. W ciągu dwu godzin jest u nas kantyna, żywność, tytoń, artykuły pierwszej potrzeby. Harcerki wraz z ochotniczkami PWK załatwiają korespondencję, szyją, cerują, kręcą się zapobiegliwie pomiędzy rezerwistami. Siedmioletni Zygmuś cały czas przebywa z żołnierzami, śmieją się do niego, pokazują broń. Ale on jest urodzonym pacyfistą, największą jego troską jest bezpieczeństwo nowopoznanych przyjaciół: — Czy oni wrócą żywi? — zapytuje z niepokojem. A kiedy śpiewają piosenkę o naczelnym wodzu, dziecko reaguje okrzykiem: — Ja nie chcę wojny, bo na pewno Rydza-Śmigłego zabiją!

Ja, Marta Wilmus i inni nauczyciele rozmawiamy dużo z rezerwistami. Są to przede wszystkim Polacy i Białorusini, poza tym jest trochę Żydów, Tatarów i kilkunastu Litwinów. Wszyscy niezależnie od narodowości są spokojni, rozmowni, ufni, zdyscyplinowani. Polacy i Tatarzy są rozmowniejsi, a Białorusini sympatyczniejsi. Przysłowiowo milczący Litwini tu są nieco rozgadani, wszyscy pochodzą z jednej gminy, Marcinkańce, więc znają się i swoje sprawy wiejskie i rodzinne przenoszą na teren naszego dziedzińca. Żydzi niespodziewanie nie przejawiają wrodzonego niepokoju i nerwowości. Wszyscy żołnierze po dziecinnemu kłopoczą się czy aby nie zginą ich cywilne ubrania, które starannie pakują, piszą swoje nazwiska i zostawiają w szkole. Jeden z nich, czterdziestoletni chłop białoruski, mówi mi, że nie boi się wojny, ani śmierci, żal mu tylko zagrody i tego bogactwa, które mozolną pracą gromadził. Wierzy jednak, że po wojnie Polska byłym żołnierzom pomoże.

Na trzeci dzień pożegnanie świetnie umundurowanych, przygotowanych do wymarszu obu pułków. Ciepły wieczór sierpniowy, na dziedzińcu wielkie ognisko harcerskie. Zbiega się kilka drużyn harcerskich,

chłopcy i dziewczęta przynoszą żołnierzom kwiaty, odznaki, piosenki i miłość serc dziecięcych. Naokoło kozły ułożone z karabinów. Żołnierze siedzą przy nich, lub leżą grupkami. Zapatrzeni w ognisko, zasłuchani w pieśni, teraz dopiero okazują wzruszenie. Kiedy od drużyn harcerskich płynie do nich pieśń Roty, podchwytują ją potężnie, ze wzrastającą siłą, niektórzy zrywają się i śpiewają stojąc na baczność, jak na przysiędze: ,,Twierdzą nam będzie każdy próg! Tak nam dopomóż Bóg!''

Na dwie godziny przed północą alarm, rozkaz wymarszu. I już po chwili przemarsz przez udekorowane ulice miasta do dworca, wśród entuzjastycznych okrzyków żegnającej ludności, która wybiega z domów nie zważając na późną godzinę.

Afisze z zarządzeniem powszechnej mobilizacji[9] ukazują się 30 sierpnia po południu. Przed afiszami tłumy niespokojnych ludzi, mężczyźni, kobiety, dzieci. Ktoś czyta na głos rozkaz mobilizacji. Nikt nie komentuje jego treści. Mamy ściśnięte gardła, słowa ,,Powszechna Mobilizacja'' uprzytamniają nam wielką i groźną doniosłość chwili.

Szosami i ulicami chłopi pędzą kontyngenty zmobilizowanych koni. Wszędzie pełno rezerwistów, którzy ciągną do swoich macierzystych koszar. W sąsiadujących z naszą szkołą koszarach mobilizuje się grodzieński 81 pp., w dalszych punktach miasta — 76 pp. i inne. Część umundurowanych już i gotowych do wymarszu żołnierzy 81 pp., nie czekając na resztę, wyrusza następnego dnia. Wyczuwa się gorączkowy pośpiech, nie ma już czasu na organizowanie kantyny, nie ma już czasu na żegnanie odchodzących.

PRZYPISY

1. Peowiaczka — członkini Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) z czasów I wojny światowej.
2. Pakt polsko-sowiecki o nieagresji z 25.07.1932 r. powtórzony 26.11.1938 r. z terminem do 31.12.1945 r., zdradziecko złamany przez ZSRR 17.09.1939 r.
3. MOPR — Międzynarodowa Organizacja Pomocy Represjonowanym.
4. Anna Sokołowska, literatka — matka autorki.
5. Witold Sokołowski, inżynier i wynalazca — ojciec autorki.
6. Zygmunt Żelazowski — siostrzeniec autorki.
7. Stefania Żelazowska — siostra autorki.
8. 81 pułk Strzelców Grodzieńskich.
9. Opóźnienie powszechnej mobilizacji było spowodowane żądaniem aliantów, którzy łudząc się nadzieją zażegnania wojny nie chcieli drażnić Niemców. Skutki tego opóźnienia były fatalne.

WOJNA

Grodno[1], wczesny ranek 1 września 1939 roku. Jestem na dziedzińcu szkolnym i widzę nisko płynący srebrny samolot, który z podbrzusza wypluwa trzy przedmioty, niby olbrzymie wydłużone krople. — Pewno ulotki — myślę. I nagle uderza mnie ogłuszający, nigdy nie słyszany trzask, jak rozprysk szklanych mas powietrza. Nie podejrzewam ani przez moment, że Niemcy atakują nas bez wypowiedzenia wojny. Zbiegają się nauczyciele, uczniowie i jedni drugich uspokajają, że odbywają się dziś ćwiczenia przeciwlotnicze. Wierzymy w to święcie, mamy pretensję do garnizonu grodzieńskiego, że swymi hukami sieje popłoch. Ale po chwili wbiegają dwie roztrzęsione uczennice: — Samolot rzucił bomby! Kościół farny rozbity! Są ranni i zabici!

Wojna! Wojna bez wypowiedzenia! Na ulicach niebywałe poruszenie. Rozgorączkowani ludzie wybiegają z domów. Momentalnie sklepy pełne są kupujących. Pełne są też kościoły, choć pierwsze bomby niemieckie uderzając w kościół, mogły odstraszyć ludzi od przebywania tam. Wieczorem całe miasto tonie w ciemnościach, latarnie uliczne nie zapalone, okna szczelnie zaciemnione. Po ulicach krążą patrole Obrony Przeciwlotniczej (OPL), pilnują porządku i szturmują do mieszkań, w których zasłony okien przepuszczają szczelinki światła. W tę ciemną noc, w milczeniu i ciszy odmaszerowuje w stronę dworca reszta zmobilizowanych pułków grodzieńskich.

Nie wszyscy mieszkańcy Grodna mają radia, więc co dzień ludność gromadzi się na placu Batorego, gdzie wielki głośnik ogłasza komunikaty frontowe i wszystkie gorące wydarzenia frontowe tych wojennych dni wrześniowych. Pierwsze komunikaty smutne: ,,pod naporem wielokrotnie przeważających sił wroga...''. Dalsze komunikaty jeszcze smutniejsze. Ale duch nie słabnie. Trzy dni niepokoju, jakie stanowisko zajmą nasi sojusznicy. — Vivant! Są z nami! Szalejemy z radości. Wierzymy, że wojna skończy się zwycięstwem. Każdy z nas pragnie uczestniczyć we wspólnym wysiłku dla państwa, dla wojska, w walce, w przyszłym zwycięstwie. Wieś polska i większość wsi białoruskich solidaryzuje się z miastem, z armią, z całym krajem. Chłopi